



tekst

**KAROLINA
PAWŁOWSKA**

redaktor wydania

Zdarzają się dni, kiedy człowiek ma zwyczajnie dość. Pęknięta rura zalewa mieszkanie, śpięcie pali sprzęty elektryczne i pozbawia światła nas i sąsiadów, dzieci są opryskliwe, ludzie uprzykrzają życie... nic tylko krzyczeć ze złości i pytać: „dlaczego ja?”. Dopiero, kiedy stanie się twarzą w twarz z prawdziwym nieszczęściem, człowiek nabiera pokory. Bohaterowie artykułu „Tylko sześć schodów” (s. IV-V) nie pytają „dlaczego?”, biorą życie takim, jakim jest. I z codziennym uporem udowadniają, że inność nie oznacza wykluczenia. Zapraszam do lektury!

Konsekracja dziewic

Poślubione Panu Jezusowi

Po raz pierwszy w naszej diecezji cztery **kobiety wybrały na swojego oblubieńca Jezusa Chrystusa**. Teraz w codziennym życiu będą pokazywać, co to znaczy.

Podczas uroczystej Mszy świętej Agnieszka Bieniak, Kazimiera Skibińska, Jadwiga Onufrowicz oraz Elżbieta Cichocka poprzez włożenie rąk w dłonie biskupa seniora Tadeusza Werno złożyły śluby czystości i przyjęły od niego znaki konsekracji: obrączki i liturgię godzin (brewiarz).

Kazanie wygłosił ks. Krzysztof Włodarczyk, dyrektor Wydziału Duszpasterskiego Kurii Biskupiej. Przedstawił on historię istnienia Ordo Virginum i podkreślił, że ten stan jest znakiem dla wszystkich członków Kościoła. – Ich gotowość jest dla nas jednym ze znaków wiary w to, że Jezus żyje, że jest żywą i kochającą osobą.

Ksiądz Włodarczyk wyjaśniał, czym dla tych czterech kobiet jest decyzja o konsekracji. – Z pewnością dzisiejszy obrzęd nie jest dla nich ucieczką od życia, świata, ludzi. Jest chrześcijańskim zobowiązaniem, podobnie jak pozostałe wypływającym z łaski chrztu świętego. Zobowiązaniem radosnym, choć niepozbawionym krzyża – mówił dyrektor Wydziału Duszpasterskiego.

– Dzisiaj jest najważniejszy dzień mojego życia, podjęłam najlepszą decyzję, jaką mogłam. Oddałam



JULIA MARKOWSKA

– **Czuję, że kocham całym sercem i jestem kochana**
– **powiedziała po konsekracji Agnieszka Bieniak**

całe swoje życie Jezusowi. Czuję, że kocham całym sercem i że jestem kochana. Całe moje życie ma sens – powiedziała po konsekracji Agnieszka Bieniak. Zachęcała również inne kobiety do zastanowienia się, czy stan dziewic konsekrowanych nie jest ich powołaniem. Dwie spośród konsekrowanych dziewic pracują jako katechetki i są związane z Ruchem Światło-Życie, trzecia jest emerytowaną nauczycielką, a czwarta pracuje w banku.

Julia Markowska

Mają swój kąt



JULIA MARKOWSKA

KOSZALIN. Tabliczka informacyjna już na drzwiach, więc oficjalnie można zabrać się do pracy

Członkowie zarządu Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży mają już gdzie obradować. Swoim biurem, w koszalińskiej kurii podzielił się z nimi ksiądz Andrzej Zaniewski, diecezjalny duszpasterz młodzieży. Młodzi będą spotykać się w każdy czwartek o godzinie 16. – Dzisiaj zaczynamy i jestem pełna energii. Na razie sprawdzamy, czego nam brakuje, osuwamy się ze ścianami kurii i planujemy swoją pracę. W tym miejscu będziemy przede wszystkim koordynować pracę oddziałów, wysyłać mejle, dzwonić i planować konkretne działania – mówi Kamila Potoniec, sekretarz diecezjalnego Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży. Podczas uroczystego otwarcia młodzieży działacze otrzymali biskupie dekryty, które upoważniają ich do pracy na terenie diecezji.

Miasto z dukatem

KARLINO. W lipcu Karolino dołączy do miast posiadających własną walutę. Do końca roku lokalnym środkiem płatniczym będzie dukat miejski. 6 grzywien karlińskich, bo taką nazwę będzie nosić pieniądz, stanowi równowartość 6 złotych. Będzie można go nabyć, otrzymać w formie reszty, a także płacić nim za towary i usługi w specjalnie oznaczonych punktach handlowych i gastronomicznych w mieście. Awers dukata przedstawia wizerunek herbu miasta, na rewersie znalazł się zaś wizerunek karlińskiego zamku biskupiego wraz z napisem „Karlino 625 lat nadania praw miejskich”. Dukat miejski zostanie



Przez pół roku w Karlinie będzie można płacić dukatami

wybity w krążkach ze stopu nordic gold o średnicy 30 mm, wadze 13,9 g oraz grubości 3 mm. Nakład wyniesie zaledwie 5 tys. sztuk, z czego 3,5 tys. sztuk zostanie wybitych stemplem zwykłym, a 1500 monet stemplem odwróconym (rewers „do góry nogami” względem awersu). Część dukatów zostanie umieszczona w eleganckim opakowaniu (tzw. blister). Zawiera on sześć stron informacji dotyczących miasta i dukata miejskiego – dzięki temu staje się niecodzienną i bardzo atrakcyjną pamiątką nie tylko dla odwiedzających Karolino turystów, ale również dla mieszkańców.

Karolina Pawłowska

Tenisowe zmagania



Mistrzowski debel Mateusz Górski i Dawid Borkowski

ŚWIDWIN. Po raz pierwszy w dekanacie świdwińskim ministranci spotkali się przy pingpongowym stole, żeby powalczyć o miano najlepszej drużyny tenisa stołowego. Sportową rywalizację poprzedziło nabożeństwo majowe, pod przewodnictwem ks. Dariusza Kasińskiego, gospodarza i organizatora turnieju. Ministranci z Rymania, Lekowa, Sławoborza oraz dwóch świdwińskich parafii rozegrali mecze w trzech kategoriach: szkoła podstawowa, gimnazjum i seniorzy. Walczyli zarówno o indywidualne trofea, jak i o punkty dla parafii. W kategorii seniorów najlepszy byli ministranci z herbem

Michała Archaniola na koszulkach (Świdwin), a indywidualnie Mateusz Górski. W grupie gimnazjalnej potęgą okazało się Sławoborze, a pierwsze miejsce zajął Szymon Siamburski. Natomiast u najmłodszych zwyciężyła Lekowo i Sławoborze, które podzieliły się punktami. Pierwsze miejsce przypadło Jakubowi Janasikowi. Każda parafia wystawiała też reprezentantów do gry deblowej i tu najlepsi także okazali się ministranci z parafii pw. św. Michała Archaniola w Świdwinie. W klasyfikacji łącznej zwyciężyli jednak gospodarze.

Karolina Pawłowska

Falerystyczne cudenka



Wystawa w wałęckim muzeum to efekt pasji Pawła Leśniewskiego (z lewej) i jego brata Piotra (z prawej)

PONIŻEJ: Przez blisko dwadzieścia lat Paweł Leśniewski zgromadził pokazny zbiór odznak polskich jednostek sił zbrojnych

WAŁCZ. W Muzeum Ziemi Wałęckiej prezentowana jest nowa wystawa „Falerystyczne zbiory współczesnych jednostek Sił Zbrojnych RP”. Nazwa falerystyka pochodzi od greckiego słowa „phalera”, co oznaczało metalowe ozdoby w kształcie medalionów, umieszczane na piersi bojowników i dowódców, które wyróżniały ich wśród innych żołnierzy. Obecnie odznaki określają przynależność do danej formacji oraz obrazują związek z tradycją i regionalnym środowiskiem. – Tą tematyką interesuję się od połowy lat 70. Był to okres, kiedy musiałem zadowolić się tylko literaturą. Przełomowym momentem w mojej pasji okazał się rok 1993, kiedy od znajomego oficera Wojska Polskiego otrzymałem odznakę 6. Pułku Lotnictwa Myśliwsko-Bombowego w Pile, gdzie stacjonowały samoloty Su-22 – opowiada Paweł Leśniewski, właściciel wystawianych w muzeum



zbiorów. – W efekcie moje zbiory obejmują odznaki zarówno nieistniejących już jednostek, np. 28. Pułku Lotnictwa Myśliwskiego w Słupsku, jak i aktualnych. Zbiorem falerystycznym towarzyszy pokaz fotografii lotniczych Adama Orzyszaka i Piotra Leśniewskiego.

Beata Stankiewicz

Biblioteka nagrodzona

PILA. Powiatowa i Miejska Biblioteka Publiczna im. Pantaleona Szumana w Pile otrzymała nagrodę w konkursie „Jak cię widzą, tak cię piszą – zmieniamy wizerunek”, za pomysłowe i niestandardowe rozwiązanie w wystroju oddziału dla dzieci. W wizerunkowym konkursie udział wzięło 37 bibliotek. Współorganizator konkursu, Fundacja Rozwoju Społeczeństwa Informacyjnego, doceniła również pilską bibliotekę za stworzenie wyjątkowego miejsca spotkań, dbałość o estetykę i funkcjonalność przestrzeni biblioteki, umiejętnością przetransmisji prostoty, nowoczesności i tradycyjnego ciepła oraz wyko-

rzystanie nowych technologii w pracy biblioteki i uwzględnienie potrzeb różnego typu użytkowników, przyznając nagrodę specjalną. Wręczenie nagród odbyło się 11 maja w Koninie podczas obchodów Wielkopolskiego Dnia Bibliotekarza i Bibliotek.

Karolina Pawłowska

GOŚĆ KOSZALIŃSKO-KOŁOBRZESKI

koszalin@gosciemiedzielny.pl

ADRES REDAKCJI: 75-256 Koszalin
ul. Stoczniewców 11-13
TELEFON (94) 341 03 14
REDAGUJĄ: ks. Dariusz Jaślarz
– dyrektor oddziału,
Julia Markowska, Karolina Pawłowska

Promocja książki o kapelanach Solidarności

Modlitwa i konsekwencja

W Koszalińskiej Bibliotece Publicznej odbyło się **spotkanie autorskie Mateusza Wyrwicha, autora książki „Kapelani Solidarności. Tom III”**.

Uczestniczył w nim również jeden z bohaterów publikacji – ks. prałat Jan Borzyszkowski oraz Paweł Michalak, senator VI kadencji, pierwszy przewodniczący „Solidarności” Regionu Pobrzeże.

Mateusz Wyrwich w swoje książce przedstawił dwóch kapłanów z diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej: ks. Jana Giriatowicza, który do dziś pracuje w Słupsku, i ks. prałata Jana Borzyszkowskiego, dziś emeryta.

Książd prałat będąc proboszczem koszalińskiej katedry wspierał finansowo i duchowo opozycjonistów z diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej.

– Kapelani „Solidarności” nie byli bohaterami, to byli po prostu księża, którzy żyli w Chrystusowej prawdzie. Teraz też są potrzebni tacy kapłani, bo wciąż brakuje prawdy – mówił ks. prałat Jan Borzyszkowski.

Pomimo wielu aresztowań, grózb i prześladowań miał odwagę przeciwstawiać się systemowi. Namawiał działaczy opozycji do budowania porozumienia ponad podziałami środowisk solidarnościowych i okołosolidarnościowych.

– Zawsze powtarzał nam: żeby być wolnym duchowo, trzeba żyć w prawdzie. Jak dobry nauczyciel wskazywał kierunek, resztę zostawiał nam – podkreślał senator.

– Bardzo dobrze pracowało mi się z księżmi z diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej. Ich roli nie da się przecenić. Przecież z założenia Koszalin i Słupsk miały być miastami typowo komunistycznymi, akcji przeciw Kościołowi i księżom było tu prowadzonych bardzo dużo. Są szczegółowo opisane w wielu archiwach. Trzeba pamiętać, że o wiele większą odwagę trzeba było mieć, by wykrzyknąć słowo „Solidarność” na tych ziemiach, niż na przykład w Gdańsku. Myślę, że największą siłą obu księży, choć są bardzo różni, jest modlitwa i konsekwencja – mówi Mateusz Wyrwich, autor książki.

Podczas spotkania opozycjoniści i mieszkańcy Koszalina dyskutowali o patriotyzmie i potrzebie solidarności społecznej, szczególnie przez pryzmat tragedii smoleńskiej. W czasie rozmowy przytoczono fragment kazania ks. Jana Borzyszkowskiego, które wygłosił w koszalińskiej katedrze 31 sierpnia 1985 roku, w piątą rocznicę wydarzeń sierpniowych.



Spotkanie stało się okazją do oceny tego, co robimy z wolnością

Z PRAWEJ: Ks. prał. Jan Borzyszkowski uważa, że robił to, co do niego należało

„Ale, wiemy, że samymi wspomnieniami przeszłości nikt lepszego jutra nie zbudował. Rocznicę wydarzeń różnych przeżyć naszego narodu, czy to bolesnych czy radosnych, mają być okazją do refleksji nad samym sobą, do snucia wniosków i postanowień na przyszłość. Mamy umocnić się w działaniach, w solidarności narodowej i pokrzepić swe serca w walce o zachowanie ducha polskiego, nieskażonego jadem od wewnątrz (...)”.

Wielu uczestników spotkania doszło do wniosku, że pomimo upływu lat zbyt wiele się nie nauczyliśmy. – Nadal nie potrafimy budować, tylko ze sobą walczyliśmy. Ciągłe chcemy być pierwsi i najlepsi, a zapominamy o Polsce i ludziach – mówi Hanna Krokowicz.

Spotkanie zorganizowała Koszalińska Biblioteka Publiczna i NSZZ „Solidarność” Koszalin.

Julia Markowska



Nasz obowiązek



Ks. JAN GIRIATOWICZ

– Zawsze było mi bliskie polecenia księdza biskupa Ignacego, który powtarzał: czyńcie zwyczajnie rzeczy, ale nadzwyczajnie. Bo przeważnie wszystko, co robimy, jest zwyczajne jak oddychanie, spanie, praca. Kiedy w Słupsku zaczęły się pierwsze strajki, czułem wewnętrzną potrzebę działania. Podjeżdżałem syrenką pod zakłady pracy i rozdawałem dary, nawet nie spodziewałem się jakichkolwiek trudności.

Nie lękałem się. Spełnialiśmy tylko nasz obowiązek, robiliśmy po prostu to, co wtedy trzeba było robić. Dziękuję Panu Bogu, że wykorzystał właśnie mnie do tej pracy, że pozwolił mi pomagać. Do tego miałem wspaniałych ludzi, którzy byli wokół mnie i tych, którym mogłem pomóc. To oni byli dla mnie siłą napędową, widziałem jak poprzez swoje zadania rosną duchowo. Wiedząc do roboty, wiedziałem, że warto dla nich zrobić wszystko. Ale zawsze niezwykle ważna była modlitwa. Modliłem się za wszystkich wojskowych, milicjantów i rządzących. Codziennie prosiłem i proszę Pana Boga o trzy „u”: „Panie Boże, uzupełniaj mnie, uprzedzaj i urządzaj”. Uzupełniaj, bo sam nie jestem w stanie zrobić wszystkiego dobrze, często się myślę. Uprzedzaj, gdzie ja będę, i urządzaj, bo ja sam nie potrafię.

Tylko sześć schod

LUDZKIE LOSY. Bartek jest uparty od zawsze. Od zawsze, choć lekarze spisali go na straty, **udowadnia sobie i światu, że o marzenia warto walczyć.**

tekst i zdjęcia

KAROLINA PAWŁOWSKA

kpawlowska@goscniedzielny.pl

Mimo że od urodzenia jest przykuty do wózka inwalidzkiego, dopiął swego i zdał maturę. Jego kolejny cel to studia.

Odliczanie

– Po prostu się uparł, że będzie żył – Krystyna Piasecka, mama chłopaka, uśmiecha się, choć nadal trudno wracać wspomnieniami do pierwszych chwil po porodzie.

Nieszczęśliwy upadek sprawił, że Bartek przyszedł na świat w 28 tygodniu ciąży. – Wówczas w tak wczesnej ciąży lekarze nie sprawdzali nawet, czy dziecko ma tętno. Szpitalne określenie nazywa takie dzieci: „spisane na straty”. Zapytano mnie tylko o imię, żeby szybko udzielić chrztu z wody – opowiada kobieta.

Pierwszy tydzień to było wyczekiwanie, czy będzie następny dzień? Potem następne czternaście..., dwadzieścia jeden – odliczanie.

– Po miesiącu pozwolili nam zabrać go do domu. Taki maleńki był, że go w misce wykapałam. No i czekałam – mówi pani Krystyna. – Cieszę się, że trafiłam na lekarza, który na samym początku wymienił mi wszystko, czego Bartek być może nigdy nie będzie mógł zrobić. Tym większa była radość, gdy zaczął widzieć, gdy pierwszy raz chwycił zabawkę, gdy zaczął mówić. Pani doktor kazała nam spisywać wszystko, co powiedział, żeby wiedzieć, czy powie dwa tysiące słów. Spytałam tylko: „te brzydkie też?”, „również” – usłyszałam odpowiedź. Bartek nigdy nie usiadł. Nigdy też nie stanął na nogi. Spastyka czterokończynowa przykuła chłop-

ca do wózka inwalidzkiego. Drżąc w nim ogromna siła sprawia, że robi rzeczy, wydawałoby się, niewykonalne, a brak sprawnego ciała nadrabia sprawną głową, i, jak dodaje, ciętym językiem. Zwłaszcza wtedy, gdy spotyka się z nietolerancją lub politowaniem.

Z takim samym uporem, z jakim walczył o życie, postanowił, że pójdzie do szkoły. – Warunkiem było, że napiszę kilka słów na elektronicznej maszynie do pisania. Ćwiczyłem na zwykłej, szło opornie, palce wpadały mi między klawisze, ale się nauczyłem – opowiada Bartek. – Pani pedagog powiedziała: Jak napiszesz „Tomek ma dom” i „Ala ma kota”, to pójdziesz do szkoły. Napisał. Łącznie z kropkami na końcu zdania.

Psom i niepełnosprawnym...

Najpierw były szkoły integracyjne. Oddział zerowy i podstawówkę mama i syn wspominają z rozrzewnieniem. W gimnazjum było już trochę trudniej.

– Ale zawsze miał świetne świadectwa – pani Krystyna nie kryje dumy i na dowód pokazuje album, w którym pieczołowicie zbierane są kolejne świadectwa z czerwonym paskiem, rysunki, opowiadania, wiersze, dyplomy z konkursów recytatorskich i masa zdjęć. Mały Bartek na koniu, w górach, w Heine Parku, na kajakach. – Strasznie się bał i nie chciał za nic wsiąść do kajaka. Organizatorzy przygotowali jednak już wcześniej dyplomy dla wszystkich, więc wyczytano także jego. A Bartek na to, że nie pójdzie. Nie popłynął, więc mu się nale-

Pani Krystyna jest rękoma i nogami syna. Towarzyszy mu jak cień



ży. No to mówię mu, że nic straconego, kajaki są. Popłynął i odebrał swój dyplom z czystym sumieniem – śmieje się mama.

W liceum nie było żadnej taryfy ulgowej.

– To dobrze – mówi chłopak. – Nie chciałem, żeby ktokolwiek mógł mówić, że dostaję lepsze oceny, bo nauczyciele mnie lubią, bo jestem niepełnosprawny.

Musiał sobie radzić nie tylko z barierami architektonicznymi, ale i tymi mentalnymi.

– To była szkoła masowa. W klasie 35 osób. Ciężko było się zaaklimatyzować – dodaje Bartek.

– Trochę na dobre jednak mi to wyszło. Nabrałem psychicznej odporności na komentarze. Zahartowałem się na nieprzyjemne sytuacje.

A tych w życiu niepełnosprawnego nie brakuje. Choćby kiedy ekspedientka zabroniła wjechania do sklepu wózkiem, bo... kółka były całe w śniegu i mogły nabrudzić. – Byłam w takim szoku, że się wycofałam. Wrócili-

ÓW

śmy do domu. A Bartek na klatce schodowej pyta mnie: czy ja jestem psem? – że nie mogę wejść do sklepu? – opowiada pani Krystyna. – Wróciłam do sklepu i mówię: syn prosił, żeby pani powiesiła kartkę, że psom i ludziom na wózkach wstęp wzbroniony.

W takich sytuacjach Bartek mówi teraz:

– Nie ograniczaj mnie bardziej, niż jestem ograniczony. Moje ciało wystarczająco mnie ogranicza.

Sifaczka

– Bartek jest twardszy ode mnie. W końcu jest facetem – śmieje się pani Krystyna. – Uczylałam go, że nie jest tak, że mu się cokolwiek należy. Na to, czego chce, musi solidnie zapracować: zachowaniem, uporem, wiedzą.

To po mamie Bartek odziedziczył upór i konsekwencję w podejmowanych działaniach. Obydwoje też bronią się przed litością. – Najgorsze jest takie biadolenie: jak ja pani współczuję. Nie trzeba współczuć, można pomóc, ułatwić. Sama nigdy nie zadawałam sobie pytania, dlaczego to mnie spotkało? Gdyby nie nas, to kogoś innego. Gdyby Bartek był niepełnosprawny umysłowo, byłoby mi znacznie gorzej. Więc myślę sobie, że Bóg daje nam takie ciężary, o których wie, że je udźwigniemy – mówi mama.

Bartek nie spodziewa się cudów. – Jedyną rzeczą, której bym oczekiwał, to żeby wszystkich niepełnosprawnych nie wrzucać do jednego worka. I żeby ludzie pytali bezpośrednio mnie. Pytania kierowane do opiekuna, który stoi tuż przy moim wózku, zamiast do mnie, o wiek, o imię, to standard – mówi z przekąsem chłopak.

Nie trzeba dużo, żeby ułatwić życie niepełnosprawnemu. – Czasami to drobiazgi. Jak to, że kierowcy autobusu, którym jeździliśmy na drugi koniec Piły do szkoły, zawsze poczekali minutkę, żebym zdążyła zobaczyć Bartka w szatni i dobiegła na przystanek. Albo żeby podjechać blisko krawężnika, bo kółka

wózka wpadały. Czasami rzeczy wymagające więcej tolerancji, jak umożliwienie mi takich godzin pracy, które pozwalałyby na opiekę nad Bartkiem. Tych dobrych ludzi jest dziewięćdziesiąt procent. Złych najwyżej dziesięć, ale za to dają się tak we znaki, że wydaje się, że jest ich więcej. Za to ludzkie, normalne odruchy są wtedy jak wielkie czyny – podsumowuje pani Krystyna.

Świadectwo z paskiem

Pani Krystyna jest jak cień syna. Jej pomoc jest nieodzowna niemal przez cały czas, ale z upływem lat coraz dyskretniej stara się zostawiać Bartkowi przestrzeń tylko dla niego. Jest jego rękoma i nogami. Parapodium dynamiczne w przypadku Bartka nie zdało zupełnie egzaminu. – Więcej niż pięć minut i Bartek ma całkiem przekrwione nogi, pod stopami robią się sińce. Ich leczenie jest dłuższe niż czas używania urządzenia, dlatego jeśli ktoś potrzebowałby takiego sprzętu, chętnie przekażemy go dalej – deklaruje mama Bartka.

Pełna werwy kobieta nie pracuje, bo opieka nad synem wypełnia jej cały czas. – Najpierw były szkoły integracyjne, a mnie brakowało dwóch lat do emerytury, więc dzieliłam czas między pracę, starszą córkę i odwożenie Bartka na lekcje. Dopiero w liceum odeszłam z pracy i do szkoły chodziliśmy razem – opowiada pani Krystyna. – Całe trzy lata przesiedziałam pod drzwiami klasy. Nie zgodzono się, żebym robiła mu notatki, nie pozwolono także używać dyktafonu. Żeby nie zwariować, pomagałam charytatywnie, trochę w szatni, trochę sprzątając. A na przerwie biegałam z zeszytami, by je kserować.

Po zajęciach w szkole przepisywanie zeszytów. Nierzadko do późnej nocy. – Nie musiałam go nigdy motywować do nauki, nawet przeciwnie. Był przemęczony, w gimnazjum przyplątała się astma, często dostawał krwotoków z nosa. Chociaż wstawać do szkoły strasznie nie lubił. Po maturze obydwój odetchnęliśmy, że teraz w końcu będziemy mogli odespać 14 lat – dodaje pani Krystyna.

– Wiedziałem, że robię to dla siebie, i to mnie motywowało. Im było trudniej, tym bardziej zaczynałem się w sobie. Tak jak z matematyką na koniec gimnazjum,

którą musiałem poprawić, żeby mieć świadectwo z czerwonym paskiem. Po cztery, pięć razy zaliczałem sprawdziany, ale dopiąłem swego – wyjaśnia Bartek.

Chce być coś wart

W pokoju chłopaka w centralnym miejscu stoi komputer. To za jego pośrednictwem spotyka się ze znajomymi, ogląda świat i udziela korepetycji z języka niemieckiego, który opanował doskonale. Z satysfakcją opowiada o dziewczynie, która dzięki cotygodniowej pracy z nim, na koniec gimnazjum otrzymała celujący. Chciał się sprawdzić, czy będzie umiał się tym zająć. Dopiął swego. Ale do dziś nie ujawnił, że jest niepełnosprawny.

Mimo piętrzących się problemów chciałby pójść na studia. Marzy o germanistyce. Mama kiwa głową, choć wie, że nie będzie mu łatwo w realizacji zamierzeń. Bartek martwi się też o to, jak mógłby pracować. – Jest już sprzęt, który dokonywałby na przykład transkrypcji tego, co mówię, na tekst, ale to są koszty zupełnie poza moimi możliwościami. Teoretycznie mógłbym pracować nawet jako germanista. Są specjalne tablice, rzutniki, ekrany, elektroniczne dzienniki, ale która szkoła mogłaby mi stworzyć takie warunki do pracy? Prędzej sam musiałbym przygotować sobie, za własne pieniądze, stanowisko pracy, dostosowane do moich wąskich możliwości – tłumaczy Bartek. – Ale chciałbym pójść na studia, żeby pokazać, że ja też jestem coś wart. Pokazać światu i sobie.

Jedyna bariera

Na razie największą przeszkodą jest... sześć schodów. Tylko tyle, a sprawia, że chłopak coraz rzadziej może wychodzić z domu. – Przez czternaście lat na drugie piętro było 45 stopni, ale wtedy Bartek był młodszy. Nosiłam go na plecach do czasu, kiedy nogi nie zaczęły mu zahaaczać o stopnie. Wtedy trzeba było się wyprowadzić. Bo obydwój byśmy się zabili, spadając głową w dół – wyjaśnia pani Krystyna.

Teraz Bartek jest już duży. Pokonanie nawet kilku stopni z takim bagażem to dla drobnej kobiety nie lada wyzwanie. Opowiada, jaką zaprawę fizyczną odbywa, wciągając syna na górę. W miarę możliwości pomaga też mąż. Do sąsiadów, choć deklarują pomoc, nie chce dzwonić, bo krępuje się prosić starszych ludzi o taki wysiłek.

Marzeniem jest schodołaz, urządzenie, po którym wózek z chłopcem może zjechać na parter, a potem można go wywindować z powrotem. Potrzeba – bagatela – 24 tys. złotych. Dla rodziny Piaseckich to kwota kolosalna. Przez cztery lata oszczędzania z pensji listonosza, emerytury i renty udało się zebrać 4 tys.

Następne 2 tys. euro dołożyła Caritas z niemieckiego Paderborn. Nie tracą więc nadziei, że także ten problem uda się w końcu rozwiązać. Bartek codziennie przecieży udowodnia, że jeśli czegoś bardzo się pragnie, to się uda. Wystarczy się uprzeć. ■

Komputer zapewnia Bartkowi kontakt ze światem i z osobami poznawanymi w sieci



Zakończyła się I edycja Diecezjalnego Konkursu Wiedzy Religijnej

Nie tylko uczyć, ale też wychowywać

Po raz pierwszy uczniowie szkół podstawowych **mogli skonfrontować swoją wiedzę religijną** z kolegami i koleżankami z całej diecezji.

Sukces ubiegłorocznej edycji konkursu dla koszalińskich podstawówek zachęcił pomysłodawców do rozszerzenia formuły konkursowej.

Na dobrym poziomie

Organizatorami konkursu były Wydział Katechetyczny kurii biskupiej w Koszalinie i Centrum Edukacji Nauczycieli. Patronat honorowy nad konkursem objął bp Paweł Cieślík. Razem z drugim gościem honorowym Krzysztofem Rembowskiem, zachodniopomorskim wicekuratorem oświaty, wręczyli nagrody dla siódemki najlepszych uczniów i ich opiekunów.

– Dzisiaj młodzi ludzie bardziej interesują się techniką niż wiedzą religijną, ale człowiek prowadzi także życie duchowe. Ono również wymaga pogłębiania wiadomości i bycia dobrym w dziedzinie religii. Jako biskup z serca się cieszę, że podejmujecie ten wysiłek – gratulował młodym diecezjanom bp Cieślík.

Do etapu diecezjalnego zakwalifikowało się 20 uczestników. Na rozwiązanie testu złożonego z 40 pytań mieli godzinę. – Pytania były o różnym stopniu trudności. Opierały się przede wszystkim na zagadnieniach z podstawy programowej i funkcjonowania Kościoła na co dzień – mówi Alicja Lorenz, doradca metodyczny ds. religii z Centrum Edukacji Nauczycieli, a zarazem główna inicjatorka konkursu. – Poziom uczestników był wysoki. Wszyscy poprawnie odpowiedzieli na ponad połowę pytań testowych. To świadczy o dużej pracy włożonej zarówno przez uczniów, jak i przygotowujących ich katechetów.

Nikt nie zdobył maksymalnej ilości punktów, ale najbliższej tego wyniku była Marta Madej-Gajewska, zdobywczyni pierwszego miejsca. Uczennica ze Sławna wyprzedziła koszalinianina Roberta Bońkowskiego oraz Renatę Słotę z Sianowa i Borysa Lebedowicza z Koszalina, którzy zajęli ex aequo trzecie miejsce. Nagrodą dla całej czwórki są jednorazowe stypendia naukowe.

Ze szkoły i z domu

Katecheci podkreślają, że o start w konkursie może pokusić się każdy uczeń, który przykłada się do lekcji religii i jest na bieżąco z życiem Kościoła. – Pytania na początkowych etapach nie były zbyt trudne, takie w sam raz



JULIA MARKOWSKA

Najlepsi zmagali się z 40 pytaniami etapu diecezjalnego

dostosowane do poziomu wiedzy ucznia szkoły podstawowej. Pomaga bardzo nie tylko wiedza zdobyta podczas katechezy szkolnej, ale także ta przekazywana w sposób naturalny, w domu, w rodzinie czy przez autentyczne bycie we wspólnocie kościelnej – uważa Anna Mazgał, katecheta ze Starego Jarosławia. – Ponieważ konkurs odbywał się po raz pierwszy, nie bardzo wiedzieliśmy, jak szeroko zostanie potraktowany temat. Trochę szkoda jedynie, że przed konkursem zabrakło pewnych wskazówek dotyczących zagadnień, które trzeba przerobić, przygotowując ucznia do startu w rywalizacji.

Zdaniem organizatorów, brakuje konkursów religijnych skierowanych do uczniów szkół podstawowych i gimnazjalnych. – Chcemy od samego początku nie tylko uczyć religii, ale także wychowywać. Skoro mogą się wykazać na przykład w konkursie matematycznym czy fizycznym, dlaczego nie umożliwić im tego na polu religii. To motywuje do większej pracy. Jest to także przygotowanie i zachęta do kolejnych konkursów, na następnych etapach edukacyjnych – dodaje ks. dr Leszek Szurek, dyrektor Wydziału Katechetycznego kurii biskupiej w Koszalinie.

Jak wynika z wypowiedzi uczestników konkursu, tego typu wydarzenia są okazją do pogłębiania nie tylko wiedzy, ale i wiary. – Dzięki konkursowi dowiedziałam się wielu ważnych rzeczy, a dzięki temu Bóg zajął ważniejsze niż wcześniej miejsce w moim życiu. Warto brać w nim udział, nie tylko dla miejsc i nagród, ale także dla siebie – podkreśla Renata Słota, uczennica sianowskiej podstawówki.

Uczestnicy konkursu zapewnijają, że w przyszłości na pewno skorzystają ze zdobytej wiedzy.

Karolina Pawłowska

Blog bez piuski

Miłość to nie czułe słówka

Mówi bp Edward Dajczak

Wśród wielu scen, którymi opisywano Matkę Teresę z Kalkuty, jest taka: Matka Teresa jak zwykle nie dla siebie, ale dla swoich głodnych ludzi w Indiach żebrała, prosiła o pomoc, tę scenę opisał jeden z dziennikarzy. Kiedy przechodził pan w pięknym garniturze, z sygnetem, a ona poprosiła go, by pomógł biednym, napluł jej w twarz. Ręką wytarła te plwociny i powiedziała: „To dla mnie, dziękuję, ale proszę też o coś dla moich dzieci”. Dziennikarz napisał, że płakał i uciekł szybko, zostawiając gruby portfel w rękach Matki Teresy. W maju ciągle mówimy o miłości. Ja się też uparłem mówić o tym na blogu i jeszcze raz do niej wrócić. Ktoś nas opisał w taki sposób: nasze relacje są ustalone pomiędzy nachalnością a obojętnością i nieobecnością. Gdzieś w tych widełkach jest miejsce na zupełnie inny sposób traktowania siebie nawzajem. Na taki sposób, w którym jest się świadkiem miłości. W Kościele jest taki rok, który ma tytuł „Bądźmy świadkami Miłości”. Miłości napisane jest wielką literą, bo chodzi o Boga. Ale od tej wielkiej litery do miłości przez małe „m” jest tylko kilka kroków i właściwie innej drogi nie ma. Zachwyciłem się relacją o Basi i Michale, którzy zdecydowali się urodzić dziecko, kiedy Basia była chora. Michał opisuje, jak to jest, kiedy razem się modlili, kiedy dziękował za to, że nie odkryli choroby wcześniej, bo nie byłoby dziecka. I opisywał te chwile, kiedy ona mu pięknie tłumaczyła, że miłość to nie słodkie słówka, tylko że trzeba wyprasować koszulę temu dziecku. Ma go potem, gdy jej nie będzie zaprowadzić w dobre miejsca, miejsca kultury, a czasem do knajpy. A on potem napisał tak pięknie: „Kiedy on chce na kolana i pyta, czy jest zdrowy, odpowiadam tylko: ja chcę się przytulić. Muszę sobie pomóc być mamą i tatą”. Czy wy kiedyś myśleliście o takiej miłości, która nie jest tylko gadaniem? Która ma masę szczegółów, drobiazgów, która jest uważna i zauważa człowieka, która jest trochę inna. W maju jedni zdają matury, inni myślą o szkołach, zaliczając egzaminy i czekając na wyniki. A może by tak trochę uważniej spojrzeć na człowieka, z takiej majowej perspektywy?



pod patronatem „Gościa”

Czytaj całość www.koszalin.opokamlodych.pl.

Ma nadzieję, że będzie rozumiał ludzi, którzy do niego przychodzą

Szukam, więc żyję

Między innymi o pytaniach, które stawiamy sobie oraz Panu Bogu, o autorytetach, prostych słowach w poezji i o św. Stanisławie Kostce mówi **ks. Janusz Cegłowski**, autor tomiku wierszy „Szukam klucza rozumienia”, w rozmowie z Julią Markowską.

JULIA MARKOWSKA: Sympatyczny uśmiechnięty ksiądz, a jego wiersze przepełnione pesymizmem i trudnymi pytaniami.

Ks. JANUSZ CEGŁOWSKI: – Kto z nas ma gotowe rozwiązania na wewnętrzne czy egzystencjonalne sprawy? Albo może powiedzieć: Ja wiem! To jest buńczuczne i niewiarygodne sformułowanie. Wiem ewentualnie to, że wiem niewiele lub nic. Ciągłe poszukujemy, na te same wydarzenia patrzemy przez bagaż kolejnego doświadczenia czy spotkania. A więc to spojrzenie jest za każdym razem inne. Tym bardziej że życie to nie jest droga wymierzona w kilometrach, trudno stwierdzić, że doszedłem do miejsca takiego a takiego. Jeżeli poszukujemy Boga nieskończonego, to kiedy On się może skończyć? Dopiero, gdy go zobaczą twarzą w twarz. A tak, to wciąż jestem na etapie poszukiwania, zmagania się, zwątpienia. Dlatego w swoich wierszach pytam Boga, gdzie jest, gdy mordują chrześcijan lub gdy dziecko w gułagach chińskich musi niewolniczo pracować za miskę ryżu. Może to jest bardzo naiwne, ale życie pokazuje nam ciągle nowe wydarzenia. Wciąż rodzą się nowe pytania.



JULIA MARKOWSKA



Ksiądz Janusz Cegłowski promował tomik „Szukam klucza rozumienia”

Często księża przekonują, że wiedzą bardzo dużo, rzadko kiedy przyznają się do wątpliwości.

– Dla mnie najautentyczniejszym nauczycielem był ten, który potrafił przyznać się do tego, że czegoś nie wie. Tacy są dla mnie największymi autorytetami, moimi wzorcami. Dlatego jeżeli ktoś uznaje swoje kapłaństwo za przekaz tego, co stoi w podręcznikach od teologii moralnej czy dogmatycznej, to moja rola jest skończona. Ale przecież Jan Paweł II zawsze mówił, że dzisiaj informacja i wiedza jest dostępna na wyciągnięcie dłoni, na kliknięcie myszką. Więc co ja mogę nowego wniesić? Ja muszę zaświadczyć. A żeby to zrobić, trzeba samemu tę wiedzę przetrwać, przyznać się przed samym sobą, że czegoś nie wiem, nie umiem zrozumieć zła, które zwycięża, i spychanego dobra. Święty Franciszek Salezy powiedział: „Granica dobra i zła przebiega przez środek mojego serca”. Póki będę miał odwagę mówić i, że ciągle zmagam się z dobrem i złem, no to w porządku. Mam nadzieję,

że będę rozumiał tych ludzi, którzy do mnie przychodzą i nie będę wobec nich apodyktyczny. Bo potępić jest łatwo, a zrozumieć trudniej. Dlatego ja wolę rozumieć.

Wiersze są pisane niezwykle prostym językiem. Nie ma płomiennych porównań czy metafor, których można by się spodziewać po piszącym, bardzo wrażliwym kapłanie.

– Ja nie jestem humanistą, zawsze najwięcej uwagi i radości poświęcałem na naukę przedmiotów technicznych. Stąd chyba te proste słowa, bez udużnień. Ja zawsze powtarzam, że nie umiem pisać. Po prostu staram się uporządkować to, co się we mnie rodzi. Na pewno pisząc i mówiąc, staram się unikać seminaryjnej nowomowy, która bardzo gładko tłumaczy wszystkie problemy, ale problem jest w tym, że nie rozumieją tych treści zarówno ci, którzy mówią, jak i ci, którzy słuchają.

W wielu utworach pojawiają się nawiązania do licznych podróży księdza. To nie są wyprawy globtrocerskie. Od 30 lat poznaje Ksiądz świętego Stanisława Kostkę. Kiedy zrodziła się ta fascynacja?

– W Przasnyszu, po stanie wojennym – pracowałem wtedy z fantastyczną młodzieżą. W nagrodę za ich zaangażowanie wyjechaliśmy razem do Warszawy. Pełni ra-

dości szliśmy ulicą Grójecką. Jakaś kobieta zatrzymała się naprzeciwko nas i zapytała, skąd jesteście. Gdy usłyszała, że z Przasnysza, odpowiedziała: „To wy macie obok Rostkowo św. Stanisława Kostki i nic nie robicie?”. Odwróciła się i poszła w swoją stronę. Byliśmy zaskoczeni, ale poszliśmy dalej. Po kilku dniach młodzi przyszli do mnie na plebanię i zapytali, o co właściwie tej kobiecie chodziło. I tak zaczęły się nasze rozważania, że faktycznie nie najlepiej świadczy o nas to, że patron młodzieży urodził się sześć kilometrów od Przasnysza i wychował tam, a my nic nie robimy. We mnie, jako księdzu, też zaczęły się rodzić pytania. Kto to właściwie jest? Co jest w nim frapującego? Co ma do przekazania dzisiejszemu człowiekowi? Jak mówić o jego świętości? I tak się zaczęły moje przygody ze Stasiem Kostką. Najpierw były te sześciokilometrowe piesze pielgrzymki, które władza zwalczała, a później powstał film, i tak nieprzerwanie od lat, w różnych zakątkach świata szukam śladów jego życia i kultu.

Plany na przyszłość też są związane ze Stanisławem Kostką. Czy może ksiądz o nich opowiedzieć?

– Teraz przygotowujemy się do wyjazdu do Hiszpanii, gdzie jest miasteczko nazwane jego imieniem, jest też sporo szkół, których jest patronem. Tam, gdzie są jakieś ślady kultu, wspólnie z przyjaciółmi przygotowujemy program, badamy, czy coś jeszcze tam zostało, i jedziemy. Mam kilka skrzynek materiałów o św. Stanisławie Kostce, ponieważ mam świadomość, że jeżeli umrę, to mój następca będzie potrzebował dużo czasu, by je spalić. Sam bym tak zrobił. Dlatego mam nadzieję, że będę miał w końcu czas je uporządkować i wydać. Nie dlatego, że są jakoś wybitnie mądre, ale dlatego, że są to lata mojej pracy. Przynajmniej, gdy będzie to wydane, to oddam opracowanie do mojej płockiej biblioteki seminaryjnej. A być może kiedyś komuś się to przyda? ■

Wspomnienia Katarzyny Sobczyk

Słowik z Koszalina

Przeboje Kasi Sobczyk były niegdyś rekordy popularności. Dziś artystka zмага się z ciężką chorobą. Ale **nie traci wiary, że znów stanie na estradzie.**

Kazimiera Sawicka – to imię i nazwisko niewielu dziś pamięta. Bardziej znany jest jej artystyczny pseudonim Kasia Sobczyk. Przyjęła go, kiedy jej kariera piosenkarska zaczęła nabierać tempa.

Kasia śpiewała niemal od kołuski. Tuż po wojnie zamieszkała z rodzicami w Sianowie, występowała w teatrzyku przedszkolnym. Kilka lat później rodzina przeprowadziła się do Koszalina i zamieszkała w nieistniejącej już dziś kamienicy przy ul. Modrzejewskiej.

– Lubiałam śpiewać i grać na gitarze. Uczyłam się w Szkole Podstawowej nr 4, która wtedy mieściła się przy ulicy Rzecznej. Często występowałam na szkolnych akademiach i brałam udział w konkursach – opowiada pani Kazimiera.

Jako nastolatka zgłosiła się do konkursu na wokalistkę zespołu Czerwono-Czarni. Wkrótce potem została solistką tej grupy. Drobna, zgrabna brunetka, obdarzona mocnym melodyjnym głosem, szybko zaskarbiła sobie sympatię publiczności. Piosenką „O mnie się nie martw” w 1964 roku wygrała festiwal opolski. Rok później na estradzie w Opolu zaśpiewała piosenkę „Nie wiem, czy to warto” i wróciła z kolejną nagrodą. Nastrojowy utwór „Mały książę”, do którego muzykę skomponował Ryszard Poznakowski, dał Kasi Sobczyk tytuł Piosenkarki 1967 Roku. Kolejne jej przeboje: „Biedroneczki są w kropeczki” (szlagier festiwalu w Sopocie) i „Trzynastego” nuciła cała Polska. W kultowym serialu filmowym „Wojna domowa”, w którym wystąpiła plejada polskich aktorów (m.in. Irena Kwiatkowska, Alina Janowska, Kazimierz Rudzki), pojawił się inny przebój Kasi: „Nie bądź taki szybki Bill”.

Białe buty Kasi

Nic dziwnego, że piosenkarka stała się dumą Koszalina. – To był 1968 albo 1969 rok. Naprzeciw katedry stał sklep Krasula, w którym można było kupić koktajle mleczne – wspomina jedna z koszalinianek. – Stałam w długiej kolejce, kiedy do sklepu weszła Kasia Sobczyk. Pamiętam, że miała na sobie lekkie płaszczki i długie białe buty. Oczywiście wszystkich ludzi były skupione na niej. To była wtedy gwiazda



Kasię Sobczyk wszyscy znamy z serialu „Wojna domowa”

pierwszej wielkości. Dziś trudno porównać ją do jakiegokolwiek artysty, a w Koszalinie to już z pewnością nie ma takiej osoby.

Era big-bitu szybko jednak dobiegła końca. Kasia Sobczyk odeszła z zespołu Czerwono-Czarni. Koncertowała z mężem Henrykiem Fabianem. Potem, w latach 80. i 90. ub. wieku, w kraju nie było już słychać o piosenkarsce z Koszalina. Wyjechała na kontrakt do USA i pozostała tam na prawie 20 lat. Śpiewała w polonijnych klubach i nagrała dwie płyty. Kiedy dopadła ją ciężka choroba, postanowiła wrócić do kraju.

– Ameryka to miejsce dla twardych ludzi – ocenia dziś Kazimiera Sawicka.

Niemal dwa lata temu przyjechała do Polski. Wspierały ją dawne znajome: Halina Frąckowiak i Elżbieta Igras.

– Wróciłam do Koszalina, bo to jest moje miasto. Tu chodziłam do szkoły, tu stawałam pierwsze kroki na estradzie, tu mieszka moja rodzina. W pobliżu jest moja mama – tłumaczy pani Kazimiera.

Półtora roku temu miasto przydzieliło jej małe mieszkanie w nowym bloku w pobliżu Dzierżęcinki. Znow mogła koncertować. Udzielała wywiadów, wystąpiła także w telewizyjnej „Szansie na sukces”.

Wieczoru nie było

W październiku zeszłego roku zaśpiewała w półczyńskim amfiteatrze. – To był bardzo fajny występ – mówi Krzysztof Klimek ze Śląskiej

Agencji Koncertowej. – Od tego mieliśmy zacząć większą współpracę. Założyliśmy nawet zespół Poversi, który miał towarzyszyć Kasi w następnych koncertach. Tyle, że następnych koncertów już nie było. Bo choroba nowotworowa stała się coraz bardziej dokuczliwa. Wiosną 2010 roku Kasia Sobczyk trafiła do koszalińskiego hospicjum. Z przerwami przeleżała tu kilka tygodni.

Któregoś dnia na spotkanie rekolekcyjne przyszła do hospicjum grupa uczniów. Młodzi spontanicznie urządzili koncert jej przebojów. Jedną z licealistek śpiewała „Trzynastego”. Pani Kasia uśmiechnęła się tylko i po chwili wróciła do swojego pokoju.

W hospicjum zapamiętali, że nie lubiła zostawać sama. Potrzebowała ciągłej obecności innych ludzi. Odwiedzali ją brat z bratową i znajomi.

– A ja chciałam zorganizować wieczór przebojów Kasi Sobczyk. Mówiłam, że przygotujemy jej piękny strój i zamówimy dużo kwiatów – opowiada Jadwiga Ostrowska, szefowa wolontariuszy i od niedawna prezes koszalińskiego hospicjum. – Śmiała się, że ona nie tylko nam zaśpiewa, ale zawyje, zaryczy. Wieczór jednak nie doszedł do skutku.

Na przełomie marca i kwietnia Kasia Sobczyk wyjechała do Warszawy. Trafiła do jednego z tamtejszych hospicjów. Nie traci nadziei. – Muszę teraz skupić się na leczeniu. Ale wiem, że jeszcze zaśpiewam – mówi artystka.

Jarosław Jurkiewicz